

ŁUKASZ LIBOWSKI

Wydział Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II

<https://orcid.org/0000-0001-6175-0823>

„Miałem naprawdę fajne życie”

Rozmowa z ks. Hubertem Mikołajcem – przyczynek do historii Kościoła Opolskiego¹

Ks. Łukasz Libowski (dalej: ŁŁ): Proszę Księdza, może zaczęlibyśmy od retrospektywnego spojrzenia na Księdza kapłańską drogę?

Ks. Hubert Mikołajec (dalej: HM): To długa historia! Jak zacznę opowiadać, to tak szybko nie skończymy!

ŁŁ: Mamy czas. Przyjął Ksiądz święcenia kapłańskie w 1959 r.

HM: Tak. Było nas 48 na roku, ale w tym 15 franciszkanów. I zaraz na drugi dzień po święceniach biskup – śp. bp Franciszek Jop – wezwał trzech z nas do siebie na rozmowę: mnie, ks. Janusza Czerskiego i ks. Jerzego Kowolika. Biskup mówi do nas: „Proszę księży, chciałbym księży posłać na KUL”. Było to dla mnie zaskoczenie, bo marzyłem, że po święceniach zajmę się duszpasterstwem; tym bardziej, że byłem słabego zdrowia. I biskup nam oznajmia: „Napisałem list polecający do ks. prof. Granata. Będziecie musieli pojechać teraz do Lublina, żeby tam wszystko załatwić”. I mówi do mnie: „Ksiądz pójdzie na biblistykę”. Bez pytania, czy mnie to ciekawi, czy nie. Gdyby jeszcze na coś innego, na historię ewentualnie, to jeszcze. Myślałem sobie: „Boże święty – ale biblistyka? Nie mam ciągotki do tej

¹ Publikowany materiał to fragment wywiadu, jaki przeprowadzono 23 sierpnia 2017 r. w Domu Księży Emerytów w Opolu. Rozmowa ta odbyła się w związku z planowaną publikacją zawierającą wywiady z opolskimi księżmi emerytami. Ks. Mikołajec, dokonawszy autoryzacji tekstu, prosił, by opatrzyć go następującą uwagą: „Jako *postscriptum* do naszej rozmowy chciałbym dodać, że niektóre moje refleksje można znaleźć w książce mojego autorstwa” (zob. Hubert Mikołajec. 2016. *Zapiski wiejskiego proboszcza*. Opole: Wydawnictwo i Drukarnia Świętego Krzyża).

egzegezy, a jeszcze te języki – hebrajski, grecki...”. Ale wzięło mnie na odwagę i mówię: „Ekscelencjo, jak ksiądz biskup zadecyduje, naturalnie, tak będzie. Ale ja wolałbym do duszpasterstwa”. On tak popatrzył na mnie znad okularów, poważnie, i mówi: „Dobrze”. I skreślił moje nazwisko z tego listu. Obok mnie siedział ks. Janusz Czerski. I biskup powiada do niego: „No to ksiądz pójdzie na biblistykę”. No i nie było to opatrnościowe? Bo mówią, że Janusz jest dobrym biblistą. Potem przyszła kolej na ks. Jerzego Kowolika – muzyka. Obaj pojechali do Lublina, ale Jerzemu, który nie miał państwowej matury, bo był z niższego seminarium, powiedzieli, że musi uzupełnić tę maturę. On potem żartobliwie mówił: „Raz mi się udało zdać maturę!” I już więcej nie chciał próbować. Dlatego też ze studiów zrezygnował. Tak, że z nas trzech tylko ks. Janusz ostał się na studiach. A ja? Koledzy na mnie patrzyli dziwnie, bo niektórzy z nich marzyli o studiach... To był chyba drugi wypadek w diecezji, że ksiądz odmówił biskupowi. Przede mną był ponoć jeszcze ks. Gawelczyk, święcony razem z abpem Alfonsem Nossolem.

No i wyjechałem z Opolą. W niedzielę nas święcili, a tydzień później miałem prymicje w Ocicach.

LL: Ksiądz pochodzi z Ocic?

HM: Tak, od ks. Gadego. Byłem pierwszym księdzem z parafii św. Józefa. Potem, po mnie, był werbista, o. Adamczyk. No i teraz niedawno był trzeci – ks. Janusz Sobiś.

Zaraz po prymicjach przyszedł dekret: parafia św. Apostołów Piotra i Pawła w Opolu. Posługę rozpocząłem tam 1 sierpnia. Było nas tam czterech wikarych: ks. Gawelczyk, ks. Helmut Porada – późniejszy ojciec duchowny w seminarium, ks. Gerard Sobotta i ja – jako neoprezbiter. Fajnie mi tam było, ale – jak się okazało (a był to 1959 r.) – nie zatwierdzono w Opolu nikogo z księży do uczenia religii w szkołach (bo wtedy jeszcze religia była w szkole). Miałem iść do „dwójki” przy ul. Katowickiej. Byłem się nawet przedstawić: przyjemna szkoła, spodobała mi się. Ale, niestety, jak stwierdziły władze: „rodzice nie chcieli religii”. Sprawa trwała, a myśmy latali „od Annasza do Kajfasza”: od wydziału oświaty do kurii, żeby się dowiedzieć, co będzie. W końcu biskup powiedział: „Na razie nie uczyć religii”. Dopiero po Wszystkich Świętych zaczęliśmy lekcje religii przy parafii – w piwnicy, bo nie było jeszcze wtedy żadnej salki. Mieliśmy sporo uczniów, choć ja miałem tylko 8 lekcji – z dużymi grupami. Tak więc początek pracy duszpasterskiej – wśród kolegów – był naprawdę fajny. Potem odeszli ks. Porada i ks. Sobotta, a przyszedł śp. ks. Kraik i ks. Bajer.

Nagle w lutym – czyli byłem na parafii może już pół roku – zadzwonił telefon z kurii: mam się zgłosić w kurii. Myślałem sobie: „Co ja przeskrobałem?” Poszedłem do biskupa, a on mi mówi: „Proszę księdza, ksiądz pójdzie do Koźła”. „Boże święty – pomyślałem – tu moja pierwsza parafia, moja pierwsza miłość!” Dobrze mi tu było. Niecały rok, a już przenosiny. I spuściłem głowę. A biskup mnie pocieszał: „Wie ksiądz, tam trzeba roztropnego księdza”. Bo tam była jakaś draka. SB czepiało się tam jednego wikarego: „jakaś dziolchę na motorze wiozł”. A jak bp Jop o tym usłyszał – że SB, że „dziolcha” – to tego księdza zaraz z diecezji zwolnił, bo obawiał się jakichś szantaży. Ten ksiądz potem poszedł do administracji gorzowskiej, nad morze, i bardzo dobrze tam pracował. Dlatego w połowie roku, w lutym, przenieśli mnie do tego Koźła. Tam też mi było dobrze, ale było to całkiem inne duszpasterstwo. Tu, w Opolu, było wielkomiejskie, a tam – choć Koźle miało tylko jedną parafię – były trzy wioski. Nie miałem jeszcze wtedy prawa jazdy, więc jeździłem na rowerze do Więszyc, Kobylic i Rogów. W niedzielę było 12 Mszy, a było nas trzech wikarych i „farorz” Rutyna. Więc w każdą niedzielę trzynacja. Nieraz było i tak, że jedna Msza była w jednej wiosce, a druga – w drugiej. Nikt z nas nie miał samochodu, tylko proboszcz jeździł na swojej WFM-ce. Tak więc była to tam taka harówka. Potem I piątek miesiąca: kolejki przy konfesjonale. Nie było żadnych zakonników w Koźlu jak np. w Raciborzu. Pamiętam taki szczegół. Dwóch księży pojechało na wioski. Na parafii pozostaliśmy ja i śp. ks. Swolany. On miał Mszę, ja byłem w konfesjonale. Kolejki długie. Następną Mszę miałem ja, więc poszedłem odprawiać, a on poszedł do konfesjonału, z tym że poszedł do swojego konfesjonału, a nie do mojego, przy którym czekali ludzie. Zrobił się ruch. Wszystkie kobiety leciały; jedna drugą nawet przewróciła... Zamiast pójść tam, gdzie ja już siedziałem... Takie to były historie.

W Koźlu też mi było dobrze. „Farorz” był dobry, koledzy też byli dobrzy. Tylko zacząłem tam trochę krwιά płuć – od dzieciństwa byłem słabego zdrowia. Więc zaczęły wychodzić tam jakieś płucne rzeczy, o czym „farorz” widocznie do kurii dał znać. Byłem w Koźlu półtora roku. Po upływie tego czasu – dzisiaj biskup wysłałby na urlop chorego księdza – posłali mnie do Brynicy: do lasów, tutaj pod Opole. „Farorz” tam chorował, a że nie miał wikarego, to ja miałem tam pójść na wikarego na jeden rok i miał to być dla mnie „odpoczynek”.

LL: *Erholung?*

HM: Tak. Fajnie było. Zacząłem tam dużo czytać. Jeździłem chętnie do Opola, gdzie kupowałem książki. Tam odkryłem Thomasa Manna. Najpierw czytałem

jego utwory przetłumaczone na język polski. Potem, jak już go polubiłem, sprowadziłem sobie z NRD wydanie zbiorowe jego dzieł w 12 tomach – po niemiecku. I potem czytałem już go tylko po niemiecku. Wtedy też zauważyłem, jak wielka jest różnica pomiędzy oryginałem a tłumaczeniem.

ŁŁ: Od jakiej lektury zaczął Ksiądz przygodę z Mannem?

HM: Od *Czarodziejskiej góry* (*Der Zauberberg*). Akcja tej powieści rozgrywa się w sanatorium...

ŁŁ: A więc i pod tym względem przypadł Księdzu Mann do gustu?

HM: Być może dlatego. Ale byłem w Brynicy rzeczywiście tylko przez jeden rok. Chodziłem tam po lasach. Nawet się kiedyś zgubiłem. Tak, było mi tam bardzo dobrze. Tamtejszy proboszcz był trochę dziwakiem. Potem, jak mi się zdaje, też go zdjęli, a na jego miejsce przyszedł ks. Adam Polechoński – ale mnie już tam wtedy nie było. Więc po roku znów miałem przenosiny. W ciągu trzech lat kapłaństwa „zaliczyłem” trzy parafie. Potem dostałem dekret do Zabrza – do św. Anny.

ŁŁ: Byliście „zocnym” wikarym.

HM: No właśnie (śmiech). Wszędzie potrzebny. Jak odchodziłem z Opolą, to wspomniany już przeze mnie ks. Gawelczyk – on był dość dowcipny – powiedział mi (bo na moje miejsce nikt wtedy nie przyszedł, trzech ich wtedy tylko na parafii zostało): „A jesteś zbędny”. A ja mu mówię: „Nie «zbędny», tylko «niezastąpio-ny»” (śmiech).

Tak więc w 1962 r. dostałem dekret do Zabrza, do św. Anny. Był tam jeszcze trochę – przez dwa miesiące – ks. Szywalski, który potem poszedł do Raciborza. A za ks. Szywalskiego przyszedł ks. Kowolik. Oni się po prostu zamienili miejscami. Bo w Raciborzu potrzebowali kogoś od głuchych. Dlatego właśnie poszedł tam ks. Szywalski. No i tam, u św. Anny, byłem sześć lat.

ŁŁ: Długo...

HM: Tak, długo. Nareszcie normalnie. Dzięki temu mogłem prowadzić, gdy idzie o religię, kolejne klasy: od którejś tam podstawówki aż do matury. Religia była wtedy organizowana przy parafii. Fajne to było. Widać też było, jak co roku niektórzy odskakiwali, bo nie było wtedy żadnego obowiązku uczestniczenia

w religii. I tam, „w Annie”, obok mnie mieszkał ks. Hlubek. Dużo dyskutowaliśmy razem.

ŁŁ: Jak go Ksiądz wspomina?

HM: Bardzo dobrze. To był bardzo krytyczny człowiek. Mieszkalem obok niego. On zajmował malutki pokój, a strasznie „kurzył”. Gdy czasem wszedłem do niego, to jego pokój był cały zadymiony. I pytam się go: „Jak ty możesz tu wytrzymać?” Skończył z paleniem dopiero wtedy, gdy się okazało, że ma raka. I nagle, w jednej chwili mógł skończyć. A przedtem mu mówiłem, np. w Wielkim Poście: „No, skończ!” A on na to: „Nie da rady, bo będę zły” (śmiech).

ŁŁ: No tak, to już lepiej kurzyć.

HM: Więc tam, w Annie, byłem przez sześć lat. Potem znów przyszło wezwanie do kurii – w 1968 r. Bp Wycisk powiedział mi: „Pójdzie ksiądz do «ujka»” – do ks. Wodarza, do Pawłowa.

ŁŁ: To był Wasz „ujek”?

HM: Nie, jego – bpa Wyciska – „ujek”. I biskup mówi: „Ksiądz tam pójdzie. On właściwie nie chce «kapelonka», bo powiedział, że jednego kopidola mo i to mu «styknie»”. Bo on bał się tego, no... A ja mówię: „Znam go jeszcze z czasów, kiedy byłem ministrantem w Ocicach. Zawsze jeździliśmy po oleje do ks. diekana, do Pawłowa. On już wtedy był stary”. Kiedy przeszedłem do Pawłowa (w 1968 r.), ks. Wodarz miał 89 lat. Był sam na parafii, chociaż franciszkanie dojeżdżali tam do pomocy. Tak więc bp Wycisk dał mi dekret. Było to 20 sierpnia, we wspomnienie św. Bernarda. I mówi mi biskup: „Niech ksiądz jedzie do Ocic. Tam, u ks. Gadego, na pewno będzie «ujek» na imieninach”. Więc wziąłem dekret i pojechałem. Pokazałem dekret ks. Gademu. Uśmiechnął się. Akurat był u niego ks. Spyрка z parafii Matki Bożej w Raciborzu, który powiedział: „Ho, ho, ho! To Antek będzie nieszczęśliwy!” – „Antek” mówili na Wodarza. Potem pokazałem dekret ks. Wodarzowi. Spojrzał i powiedział: „Niech ksiądz jeszcze «żodnymu» nie powie”. Widocznie chciał to jeszcze odwrócić. Ale już nic nie odwrócił. Zresztą w tym czasie bardzo potrzebował już wsparcia, chociaż psychicznie był wciąż sprawny.

I tak posłali mnie do Pawłowa. No to pojechałem. Ale „fara” tam – to nie bardzo. Był tam stary budynek, woda stała w piwnicy. Trochę byłem tym przerażony.

Ale ks. Wodarza bardzo lubiłem. To był dobry człowiek. Nie był złośliwy. I przywykłem do Pawłowa. Duszpastersko to było niebo.

LL: Dlaczego było to duszpasterskie niebo?

HM: No bo wioska – pobożna, ułożona. Ks. Wodarz, dobry człowiek i kapłan, był tam już 50 lat! Choć potem, kiedy był już stary, ludzie mówili: „Mógłby se już siednąć!” Bo kazania gadał nieraz do 40 minut! Rozsądne to było, ale jak wpadł w swoje tory, to się powtarzał. W niedzielę były tam, w Pawłowie, dwie Msze. Ja miałem jedną Mszę, a on – drugą. Kazania mówiliśmy na zmianę, co drugą niedzielę. Ja mówiłem dziesięć minut. Powiedziałem mu: „Proszę księdza prałata, ja mam słaby głos, ja nie umiem mówić długo”. I on to akceptował. Jak on miał kazanie, to widziałem, jak mężczyźni z tyłu kościoła wychodzili na „cigareta”. Dopiero jak słyszeli: *Credo in unum Deum*, to wracali. No, ale ks. Wodarz był przekonany, że trzeba tak długo mówić.

I dzieci wiejskie – po tych miastowych – to było niebo na ziemi. Wprawdzie nie było jeszcze w Pawłowie salki – potem dopiero przerobiliśmy chlewy na salkę – więc uczyłem w zakrystii. Wszystkie dzieci chodziły na religię, ale nie było katechezy dla młodzieży. Mówiłem do prałata: „Księżę prałacie, może by my tak zrobili coś dla młodzieży?” „I tak nie przyjdą” – odpowiedział. „Ale chciałbym spróbować”. No i, naturalnie, początkowo młodzież przysła, nawet 26- i 28-latkowie. Ale z upływem czasu niektórzy odskakiwali... Ale ci, co zostali, uczyli się rzetelnie. Może dlatego, że po 50 latach widziano w parafii młodego księdza? Jak ks. Wodarz w 1916 r. przyszedł do Pawłowa, też był młodszy. Ale teraz to już był staruszek. Źle widział, źle słyszał. Gdy chodzi o jakieś konflikty, to u ludzi młody wikary ze starym „farorzem” na ogół wygrywa, no nie? Sama młodość to już duży atut (śmiech).

Było mi dobrze w Pawłowie. Z młodzieżą było mi dobrze. Choć jako „afon” z muzyką jestem na bakier, udało mi się stworzyć taką grupę, w której był ktoś z gitarą. To był taki zespół, który czasami występował w kościele. Widziałem, że w tych ludziach w Pawłowie była taka chęć... Albo – wprawdzie nie lubiłem podróżować z grupą, bo źle wspominałem wyjazdy z czasów wikariuszowskich, kiedy musiałem pilnować podopiecznych – nieraz jechaliśmy gdzieś na rowerach: do Pietrowic, do drewnianego kościoła, na zakończenie roku szkolnego, albo do Krowiarek, albo graliśmy jakieś jasełka... Dzieci gorliwie uczyły się tekstów i katechizmu na pamięć. Fajnie było!

Potem umarł ks. Wodarz i zostawili mnie w Pawłowie. Wahałem się, czy zostać, czy nie. Myślałem wtedy, że trzeba będzie wybudować nowe probostwo. A nie

było gdzie, bo zaraz obok fary były chlewy jednego gospodarza, gdzie śmierdziało. Było tylko jedno rozwiązanie: zburzyć starą plebanię i na jej miejsce wybudować nową. „A ja się do takich rzeczy nie nadaję” – myślałem wtedy. Budować coś za „komuny”? Wiadomo, jak to było... Ks. Wodarz zmarł w 1975 r., a ja zostałem w Pawłowie jeszcze do 1985 r. Najpierw byłem w Pawłowie wikarym, a potem zostałem tam proboszczem.

ŁŁ: Co się zmieniło, kiedy został Ksiądz proboszczem?

HM: Właściwie nic. Już wcześniej byłem tam „proboszczem”, bo ks. Wodarz pod koniec swoich dni już nie przychodził do kościoła. Odprawiał na probostwie, gdzie chodził zawsze jakiś ministrant. Chorował, chorował, ale lekarza nie chciał. Był taki dr Hlubek, brat ks. Hlubka – był bardzo lubiany po tych wioskach, ale wcześniej zmarł. Więc mówię do ks. Wodarza, który dużo mówił po niemiecku: *Ich werde den Doktor Hlubek rufen*. A on odparł: *Um Gottes Willen, er bringt mich wieder ins Krankenhaus!* Nie chciał doktora. Jak przyjechał doktor i mu jakieś pigułki przepisał, to on brał te piguły – które zresztą doktor mu już sam przywoził – i jak doktor pojechał, wrzucał je do ubikacji: *Und weg war das*. Ks. Wodarz także tłusto jadł, ale nie miał sklerozy. Do końca – a dożył 96 lat – był psychicznie sprawny. Tylko nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Kiedy miał obchodzić 75-lecie kapłaństwa, bp Wycisk, który często do niego przyjeżdżał, namawiał go: *Aber du musst doch das feiern!* Odparł: *„Ich muss das nicht!* Bo co ludzie powiedzą, że ja już chodzić nie umiem?” Nie chciał świętować. I rzeczywiście nie musiał, bo pod koniec kwietnia umarł. A w czerwcu miał mieć jubileusz 75-lecia święceń kapłańskich.

No i tak pomyślałem sobie: „Boże święty, tym probostwem trzeba się w końcu zająć”. Biskupowi Nossolowi powiedziałem: „Ja tam chyba nie dam rady tego probostwa zrobić”. A akurat ks. Gawron odszedł z Gamowa na emeryturę. To był taki trochę oryginał i bojownik. Jak w Gamowie młodzież z zabawy wracała, to koło probostwa szła po cichu, żeby – broń Boże! – nie słyszał ich „farorz”. A tu, w domu emerytów, dożył chyba 95 lat. Więc ten ks. Gawron odchodził wtedy z Gamowa, ale rozpoczął budowę dość dużego probostwa, a prace były już na ukończeniu. Więc powiedziałem bpowi Nossolowi: „Może ja bym tam poszedł? Bo budowę to może bym dokończył, ale zaczynać od początku?” Biskup powiedział mi wtedy: „Wiesz, to jest za blisko. Potem ludzie z Pawłowa będą biegać do ciebie, albo coś takiego... Ale mam pomysł. Idź do Zabełkowa. Bo stamtąd musimy zabrać ks. Waltera Rducha”.

Ks. Rduch był moim kolegą kursowym. Ludzie go bardzo lubili, a jego poprzednik był trochę takim cholerykiem – „przeżywał” z ambony. A ks. Walter Rduch był bardzo ludzki i ludzie mu wiele wybacжали, ale nie chcieli go „puścić” z parafii. On też nie chciał odejść, ale był chory i cierpiał na cukrzycę. Ludzie pisali listy do biskupa. Nawet pojechała „delegacja” do kurii, która oznajmiła: „Nie chcemy żadnego innego księdza! Zamknijmy kościół!” A bp Nossol mówi mi, że ja tam mam iść. Jak ja to usłyszałem – bo bp Nossol mi to wszystko opowiedział – to powiedziałem: „Księżo biskupie, ja tam nie pójde... Bo ja nie wiem, jak to będzie. Bo jak mnie ludzie nie chcą...”. A biskup powiedział mi: „Pójdiesz, zobaczysz. A jak będzie źle, to zadzwoń. A wtedy ja przyjadę cię wesprzeć”. No i tak – z duszą na ramieniu – poszedłem do Zabelkowa. Kiedy ks. Walter Rduch usłyszał, że mam przyjść na jego miejsce – bo byłem się przedstawić – jakoś to zaakceptował. Nie protestował, nie robił problemów. Przyszedł tu, do Domu Księży Emerytów, a potem zabrali go do klasztoru sióstr *de Notre Dame* do Głubczyc. I tam trzy lata później zmarł, a w Zabelkowie sprawowaliśmy jego pogrzeb.

LL: Młodo umarł?

HM: Tak, miał 52 lata. A ja już mam 82. On był kiedyś taki fajny, zdrowy, dorodny. A potem tak nagle przyszła choroba... Jest pochowany przy kościele w Zabelkowie. Być może i mnie kiedyś obok niego położą – jak mnie tam przyjmą.

A więc byłem w Zabelkowie. Biskup mi jeszcze powiedział: „Ja cię znam. Znam twój temperament. Nie będziesz wojował”. Mówię: „No nie wiem. Jak dostanę kamieniem albo co?” Pamiętam pierwsze kazanie w Zabelkowie. Kościół duży – obecnie na tę 800-osobową parafię ten kościół jest za duży! Pierwsza Msza. To był koniec sierpnia; wiadomo – zmiany. Drzwi główne do kościoła otwarte na oścież. A tam zaraz jest główna droga i słyszać, jak samochody, w tym ciężarówki, jadą. Z tyłu – patrzę – winogrona, czyli chłopy za kościołem. Więc nim zacząłem kazanie, powiedziałem: „Mam wielką prośbę. Ja wiem, że jeszcze tęsknicie za ks. Walterem, ale biskup mnie tu do was posłał. Proszę te drzwi z tyłu zamknąć, bo nie ma upału. Jak będzie upał, to sam wam powiem, żebyście drzwi otworzyli, żeby był świeży «luft»” (kościół był ogromny i nigdy nie było w nim żadnych duszności). I nikt się nie ruszył. Spuściłem głowę. Mówię: „Ja naprawdę bardzo proszę. Jak trzeba będzie, to uklękę przed wami. Zamknijcie tę główną bramę”. Niektórzy się ruszyli. I tak powoli, powoli jedni weszli, inni zostali na zewnątrz, ale drzwi zamknięto. Podziękowałem i powiedziałem kazanie. Pamiętam je. Akurat była ewangelia o noszeniu krzyża. Więc powiedziałem,

że życie każdego człowieka jest noszeniem krzyża. I że ja przyszedłem tutaj, tak jak Szymon Cyrenejczyk – nie z własnej woli, ale posłany przez biskupa, aby pomóc im w miarę moich możliwości nosić ich krzyże: „Tak jak będę mógł, chcę być z wami”.

LL: Pięknie...

HM: Często mówiłem krótkie kazania. Potem mi to wypominano: „Ksiądz tak fajnie mówił, bo krótko”. Ale zawsze starałem się mówić krótko i nie dłużej niż 15 minut. Najczęściej mówiłem 10 minut. Naturalnie, na krótkie kazanie należało się dobrze przygotować, nieraz bardziej, jak na długie (śmiech).

Tam, w Zabełkowie, religia też była przy parafii. I było dobrze. Niczego nie żądałem, gdy chodzi o finanse. Zawsze mówiłem: „Dobrowolna ofiara za wszystko”. Nieraz kiepsko na tym wyszedłem, ale nie narzekałem. Nigdy mi niczego nie brakowało.

Pamiętam bardzo dobrze nabożeństwo Drogi Krzyżowej, bo na to nabożeństwo przychodziło dużo dzieci. Może nie były to wszystkie dzieci z parafii, ale było ich naprawdę dużo. Stałem zawsze przy pulpicie, przy mikrofonie, a ministranci z krzyżem szli od stacji do stacji – bocznymi nawami, które w Zabełkowie są ogromne. I patrzę – a tu wszystkie dzieci idą za ministrantami. Nawet później mówiłem: „Nie musicie iść wszyscy. Wystarczy, że pójdą ci, którzy chcą”. Ale tam był taki zwyczaj, że chodzili wszyscy. Przyjechała potem kiedyś pani Sienkiewicz z „Gościa Niedzielnego”. Po nabożeństwie powiedziała do mnie: „Proszę księdza, pierwszy raz widzę tyle dzieciaków na Drodze Krzyżowej”. Odpowiedziałem jej: „Wie pani, niektórzy z nich to łobuzy. Potem, przy stacjach, nie klęczą jak trzeba. Albo ktoś komuś sznurówkę rozwiąże”. Jak to „synki”. Ale przychodzili. Podobno teraz to już wyszło „z mody”. Ktoś powiedział mi nie tak dawno, że teraz to już tylko parę dzieci chodzi za krzyżem. No ale teraz jest taka tendencja, że dzieci nie chodzą już do kościoła tak licznie jak dawniej.

Pamiętam, jak w Pawłowie odprawialiśmy nieszpory. Wtedy to było nie do pomyślenia, żeby „farorz” odwołał nieszpory. W niedzielę to było normalne, że o „wpół do trzeciej jest nabożeństwo”. I ludzie tłumnie szli do kościoła. Zresztą nie było wtedy jeszcze tak powszechnie telewizji. Ludzie nie wyjeżdżali tak jak teraz do tych „kauflandów”, bo jeszcze do niedawna były sklepy otwarte w niedzielę. Tego nie było. Dlatego na wsi szło się na nieszpory. Po niesporach ludzie z Pawłowa szli tam, do góry, na cmentarz – do swoich zmarłych. A potem, jak „porzykali”, to jeszcze „podindali”. A potem się odwiedzali. Przykładowo: obok fary

mieszkał stary gospodarz. Jego córki, wtedy już mężatki, po nawiedzeniu cmentarza przychodziły do niego, do rodziców na kawę: porozmawiać, poskarżyć się. Tam, w Pawłowie, miałem naprawdę fajne życie.

ŁŁ: I to życie płynęło Księdzu chyba spokojnie?

HM: I to mi się podobało: spokojne duszpasterstwo. Nie robiłem nic nadzwyczajnego. Wydawało mi się, że to tak jest samo z siebie. Tak... z żalem odchodziłem i z Pawłowa, i z Zabełkowa. Kiedy ludzie dowiedzieli się, że odchodzę z Pawłowa, mówili do mnie: „Jedziemy do biskupa, żeby zostawił nam księdza!” Odpowiedziałem im wtedy: „Słuchajcie, nie ma co jechać, bo zgodziłem się na tę zmianę”. Nie przyznałem się im, że prosiłem o zmianę. Powiedziałem im tylko, że zgodziłem się na tę zmianę (śmiech). „Zresztą – mówiłem ludziom – ja nie wybuduję nowego probostwa”. „Ale my zrobimy!” Chłopy przyszli do salki i mówią mi: „My wszystko zrobimy”. Naturalnie, bez księdza nic by nie zrobili... Po mnie przyszedł ks. Ryś. Nie wiem, czy zna go ksiądz?

ŁŁ: Nie znam.

HM: Odszedł wtedy z Cisowej (chyba z „krachem”). Miał 60 lat. Bp Nosol powiedział mi: „Poślę go do Pawłowa”. Odpowiedziałem: „No, ludzie są tam wspaniali”. Nie rozmawiałem z tym księdzem. Był tam tylko rok, a potem odszedł na emeryturę. Pojechał do rodzinnych stron, do Wadowic. Potem do Pawłowa przyszedł ks. Zygmunt Hupka. Ksiądz go dobrze zna, bo jest tam do dzisiaj.

ŁŁ: No tak – pawłowski „farorz”!

HM: Przyszedł tam jako młody ksiądz z wikariatu. Ale i on nie zbudował nowej fary, tylko ustawiczne remonty, remonty, remonty...

ŁŁ: Wiec odszedł Ksiądz z Pawłowa ze względu na plebanię?

HM: Tak, bo myślałem, że trzeba budować nową.

ŁŁ: A tej nowej fary nie ma do tej pory?

HM: Nie ma. Ks. Hupka ciągle remontował starą farę, tak że potem wyglądała już inaczej. Tam, gdzie pokazała się wilgoć, dał jakąś boazerię i na nowo otynkował farę. Byłem tam jakiś czas temu – może będzie już ze trzy lata. Jakaś klasa miała wtedy (w sobotę po południu) 50-lecie I Komunii św., a potem było w szkole przyjęcie. I wtedy tam, w Pawłowie, nocowałem na farze. Rano odprawiłem jeszcze Mszę św., a potem pojechałem do brata do Ocic. No i – bo to chcę powiedzieć – nadal czułem na tej plebanii wilgoć.

ŁŁ: Wieczny problem?

HM: Tak. Bo ta plebania pochodzi z połowy XIX w., a tam były ciągle bagna. Ks. Hupka dużo w Pawłowie zrobił: i na plebanii, i w kościele (m.in. zaadaptował stodołę na salę parafialną). Jest bardzo gorliwy, choć już teraz narzeka trochę na nogi.

Ciężko mi było odejść z tego Pawłowa. Ale potem przywykłem do Zabełkowa. I też mi było tam dobrze – aż do emerytury.

ŁŁ: Proszę Księdza, kiedy patrzy Ksiądz w przeszłość, na posługę duszpasterską, czy dostrzega jakiś jej aspekt, który można by było dzisiaj poprowadzić inaczej?

HM: Na pewno są takie rzeczy. Nie byłem konfliktowy, a jak coś mi się nie podobało, to nie wybuchałem. „Musicie, bo «farorz» tak powiedział!” – tak ludziom nigdy nie mówiłem.

Niektórzy – dla przykładu – lubią jeździć na pielgrzymki. Niekoniecznie do Fatimy czy do Rzymu... Od nas też tam jechali, ale ja raczej na ogół, z racji na moje zdrowie, nie brałem w tym udziału. Tak samo było z pieszą pielgrzymką z Raciborza. Początkowo dużo ludzi szło z Zabełkowa – dużo młodych, ale ja z nimi nie szedłem. Może to był jakiś błąd...

Albo miałem taki zwyczaj: choć prosili mnie na wesela, czy też po pogrzebie na stypę, to nie chodziłem. Bo różnie jest. Czasem człowieka boli od tego głowa. Czasem nie chce się iść, bo różni są ludzie. Myślałem sobie: „Jak pójde do jednego, to trzeba będzie iść wszędzie, gdzie poproszą”. Więc odmawiałem. I ludzie to akceptowali. Nieraz przynosili mi na farę weselny obiad, „kołocz”...

W moich *Zapiskach* jest też jeden tekst o śląskim „kołocz”. Prawie po weselu przynieśli mi na plebanie „kołocz”. A jechałem do *Reichu*, więc wziąłem ze sobą taką ładną paczuszkę tego „kołocza”. Na granicy z NRD przychodzi celnik, kon-

troluje bagaż. *Was haben Sie hier?* – pyta. A ja odpowiadam: *Schlesischen Hochzeitskuchen*. A on mówi do mnie: *Machen Sie auf*. A ja odpowiadam mu: *Wie ein ungläubiger Thomas*. Zapytał się poważnie: *Wieso Thomas?* (śmiech). Na pewno nazywał się inaczej, ale chciałem mu powiedzieć, że jest niewiernym Tomaszem: każe otworzyć mi paczkę i nie wierzy, że tam jest „kołocz”. Dało mi to bardzo do myślenia. No bo on nie rozumiał już aluzji ewangelicznych. A że byłem spocony – bo wiadomo, jak to w podróży, w brudnym pociągu – zapytałem się go: *Mit diesen Händen?* I w końcu machnął na mnie ręką i poszedł. I nie musiałem otwierać swojej paczuszki.

ŁŁ: A jakieś rzeczy, które się Księdzu szczególnie udały. Przychodzi Księdzu coś do głowy?

HM: Raczej nie. Jak już wspomniałem, prowadziłem normalne duszpasterstwo. Czasem ktoś mówi mi teraz: „Proszę księdza, ta Droga Krzyżowa... Teraz przychodzi kilkoro dzieci”. Nieraz ludzie obwiniają „farorza”, ale myślę sobie: „Teraz takie czasy; tak jest wszędzie, we wszystkich parafiach”. Widzę to teraz i tutaj w katedrze. No i nieszpory, które gromadziły tak wielu wiernych...

Na lekcje religii chodziłem do szkoły do czasu, od kiedy zaczęto płacić katechetom. Zgłosiła się wtedy jedna z siostr z Krzyżanowic, że ona „chętnie weźmie religię” (śmiech). Potem jakiś świecki katecheta, który uczył już w Chałupkach, wziął jeszcze kilka lekcji w Zabelkowie. Dlatego później uczyłem już tylko przy parafii komunijne dzieci. Ale jak miałem religię – najpierw przy parafii, a potem jeszcze przez krótki czas w szkole – pytałem się zawsze dzieci: „Kto z was był na nieszporych?” Dzieci lubiły się chwalić i zgłaszać. Oczywiście tłumaczyłem im: „Nie musicie iść na nieszpory. Kto nie idzie, ten nie ma grzechu. Ale Pan Jezus na pewno się ucieszy, jak was zobaczy w kościele”. No i zawsze pewna grupka dzieci chodziła na nieszpory.

A ja byłem takim domatorem, ponieważ dużo czytałem. Nawet nigdy nie miałem samochodu. W Koźlu miałem motor – jawę. Ale jeździłem nią do czasu, kiedy zacząłem pluć krwią. W Zabrze nie potrzebowałem już motoru, bo były tam tramwaje, pociągi, autobusy. Nigdy nie pociągały mnie auta; zresztą same z tego kłopoty. Pamiętam kiedyś, jak mnie w *Reichu* wiozł jakiś ksiądz i coś się tam ze-psuło. Mówił rozgoryczony: „*Zaś kaputt!*” Im więcej człowiek posiada, tym więcej ma kłopotów. Z jednej strony przyda się czasem ten samochód, żeby tu, czy tam podjechać. Ale wtedy wiadomo, jak to bywało. Z benzyną były problemy i trzeba było mieć na nią kartki ...

ŁŁ: No tak, ale z Zabelkowa wszędzie daleko.

HM: Ale jeździłem mało. Do Raciborza jechał PKS. Nieraz szedłem na pociąg. W Rudyszwałdzie jest stacja – to 15, 20 minut drogi.

Pamiętam taki szczegół. Wydarzyło się to może niecały rok po moim przyjeździe do Zabelkowa. Wracałem ze stacji z Chałupek „piechty” do Zabelkowa. No i ktoś jedzie – mój parafianin z Zabelkowa. Taki pobożny. Jechał na rowerze. Widząc, że idzie ksiądz, zlął z „koła” i tak ze mną szedł. I tak „godo”: „Jak to się ksiądz tu, u nas, czuje?” „No dobrze”. „Ale niech ksiądz uważa na sąsiadów. Bo to są Judasze!” Tak słucham i myślę: „Pewnie chodzi mu o gospodarzy, jednego czy drugiego – że to Judasze”. A on mówił mi o sąsiednich proboszczach. Bo ludzie byli przekonani, że to „farorze” donieśli na ks. Waltera i dlatego zabrał go im biskup. Trochę się wtedy przeraziłem (śmiech). Ale nie było aż tak źle! Nie zaznałem w Zabelkowie żadnej krzywdy.

Na kolędzie starałem się iść dosyć sprawnie i nigdy nie przedłużać wizyty. Bo ludzie mówili: „U niektórych to ks. Walter siedział godzinę!” Wiadomo, jak to jest potem na tej kolędzie. W niektórych rodzinach człowiek czuje się lepiej, rozmawia mu się łatwiej... W każdym razie starałem się, aby inni nie musieli na mnie zbyt długo czekać. Nieraz ludzie czekają, czekają, czekają... Bo ten „farorz” tam siedzi i siedzi... A jeszcze gorzej, jak są tam jakieś fajne „dziółchy” (śmiech).

